Profesor Ewa Łętowska, sędzia Trybunału Konstytucyjnego i NSA w stanie spoczynku i były Rzecznik Praw Obywatelskich dla OKO.press:

„Ewa Łętowska

Mniej wolno –  a więcej trzeba

Trwa  drugi tydzień naszego stanu wyjątkowego, zabraniającego przebywania na terytorium przygranicznym - osób z zewnątrz. Liczne, nieprecyzyjnie zresztą ujęte wyjątki, nie obejmują dziennikarzy. Głównym ograniczeniem jest zakaz fotografowania, dokumentowania (cokolwiek by to miało oznaczać) „miejsc oraz obiektów”,  a także ograniczającego dostęp do informacji publicznej odnoszącej się do „czynności prowadzonych na obszarze objętym stanem wyjątkowym w związku z ochroną granicy państwowej oraz zapobieganiem i przeciwdziałaniem nielegalnej migracji”. Wyraźnie zatem widać (co było raczej od początku niesporne), że utajnienie tego, co się na granicy dzieje, jest głównym celem wprowadzenia stanu wyjątkowego.

Trywialna mądrość głosi „co z oczu to z serca”.  Idzie więc o to, a politycy nawet tego specjalnie nie skrywają, aby w strefie przygranicznej nikt się nie kręcił, nie dokumentował co władza robi, albo czego nie robi - chociaż powinna. Wszystko po to, aby za wiele nie dyskutować, nie demonstrować lecz ugruntowywać obywateli do aprobaty  tego co władza aktualnie czyni –, że użyję aktualnej nowomowy .

Konstytucyjne przesłanki wprowadzenia stanu wyjątkowego (art. 230) przedstawiają się mało wiarygodnie, zarówno na pierwszy rzut oka, jak i przy lekturze rozporządzeń konkretyzujących, bo trudno stwierdzić na czym miałoby polegać zagrożenie „bezpieczeństwa obywateli” i „porządku publicznego”, któremu miałyby przeciwdziałać wspomniane ograniczenia transparencji i dostępu do informacji. Chyba, że idzie o zaoszczędzenie nam dyskomfortu graniczącego z pewnością podejrzenia, że polskie służby praktykują zakazany konwencją genewską push-back kandydatów na uchodźców.

Sama legalność stanu wyjątkowego zastrzeżeń nie nasuwa: Sejm nie skorzystał z okazji, aby go zdelegitymizować. Zaskarżenie, że użyto nieproporcjonalnego  w stosunku do zagrożenia lub posłużono się środkiem drastycznie ograniczającym wolność słowa, w celu innym niż deklarowany byłoby, oczywiście, teoretycznie możliwe. Z tym, że obecnie nie wchodzi w grę zdelegitymizowany Trybunał Konstytucyjny, daleki od swych oryginalnych funkcji. Przyszłość może oczywiście przynieść skargi do Strasburga, ale realność ochrony jest mglista.

Stan wyjątkowy wyjątkowo dotkliwie ogranicza możliwości pracy dziennikarzy. Wolno im mniej - gdy idzie o fakty i dokumentację.

Mogą oczywiście w tej sytuacji po prostu zająć się czym innym. Wtedy nawet nie odczują ograniczeń. Będzie im wygodniej. Obywatele nie przeczytają o faktach, które będą zawstydzać i frustrować. Nie będzie powodów aby apelować do sumień  i obywatelskiej ofiarności. Zapanuje spokój i gnuśna cisza. Oznacza to regres warunków w jakich funkcjonują demokracja i społeczeństwo obywatelskie i zarazem obniżenie standardu samej demokracji. Państwem prawa teraz bywamy, a nasza demokracja jest okrojona.

Dziennikarzom dziś więc wolno mniej, ale - paradoksalnie - zapotrzebowanie na ich pracę - staje się tym większe. Próbujących raportować z terenów przygranicznych spotykają represje. „Obywatelskie nieposłuszeństwo dziennikarzy” może być wdzięcznym tematem oddzielnej analizy i zainteresowania akcji „Na celowniku”. Problem jednak w tym, że tu łatwo o wyjście z przypisanej roli zawodowej: sprawozdawcy i informatora, o której to konfuzji ról filmy kręcą, bo codzienność staje się scenariuszem.

Jest jednak jeszcze coś, co warto dziennikarzom w tej sytuacji rekomendować.

Skoro mniej jest danych o faktach i „surowej” dokumentacji bezpośredniej, może więcej wnioskowania z tego, co dostępne; mniej reportażu i opisu, a więcej analizy własnej i eksperckiej. Może to jest szansa dla zalewającej nas rzeki sprzecznych „narracji”,  techniki wmawiania, nachalnie zmanipulowanej propagandą? To wymaga więcej czasu, wiedzy, doskonalszego warsztatu. Coś o tym wiem, bo taka sytuacja jest także wyzwaniem dla prawoznawców.

Stan wyjątkowy skierowany w gruncie rzeczy przede wszystkim przeciw wolności mediów jako dostarczycieli wiedzy o faktach, to przecież kolejny przejaw „państwa podwójnego”, jakiego doświadczamy. Jedną z jego cech jest wypaczanie sensu (orwellowska podwójność znaczeń),  budowanie fałszywych łańcuchów przyczynowo skutkowych, utrzymywanie społeczeństwa w stanie wygodnej nieświadomości.

Prawo jest w tym procederze zarówno narzędziem, jak i przedmiotem skłamanego dyskursu. Fałszywe etykiety nadawane rozwiązaniom i procedurom prawnym, mają maskować autorytarne w swej istocie posunięcia władzy. „Pakiet Wolności Akademickiej” - skrywa ograniczanie tej wolności. Hasła przyspieszenia i zdemokratyzowania pracy trybunałów czy sądów (ileż tego się nasłuchaliśmy!) -  w rzeczywistości posłużyło ograniczaniu ich niezależności od władzy politycznej. Akces (dobrowolny) do traktatu międzynarodowego zmienia się na naszych oczach w „okupację” i  zgodę na „hybrydową wojnę”. Kwestie kolizyjne, normalne w systemie wieloskładnikowym, jakim jest prawo w państwie należącym do UE chce się rozwiązywać poprzez dyskwalifikację, ośmieszanie, tromtadrację, szantaż moralny, na zasadzie: „kto nie z nami, przeciwko nam” itd. Ważenie i ucieranie stanowisk, budowanie kompromisów, traktujemy w werbalnej, oficjalnej narracji jak kapitulację Reduty Ordona.

Głównym problemem walki o praworządności  jest więc - zwłaszcza dla dziennikarzy - walka z tymi fałszywymi oznaczeniami, którymi oficjalna propaganda posługuje się masowo w zakresie każdej właściwie kwestii prawnej czy prawoznawczej.  
To przemyślany zabieg „techniki wmawiania”, gdy już nie tylko prawo, ale i część zasad prawoznawczych jest używana instrumentalnie w walce politycznej i propagandzie sukcesu. Ta metoda realizuje kilka celów.

Przede wszystkim daje legitymizację (prawda, że skłamaną), ale działającą, tak w oczach krajowej opinii społecznej, jak i jako argument w „walce o swoje” zagranicą.  Za przykład służyć mogą wnioski o kontrolę konstytucyjności traktatów czy konwencji międzynarodowych. Kontrola konstytucyjności umów międzynarodowych, owszem, jest w polskiej konstytucji przewidziana. Tyle, że nawet gdyby rzeczywiście taka sprzeczność zaszła i była stwierdzona, nigdy mocą samego orzeczenia trybunalskiego, żaden traktat, konwencja czy umowa międzynarodowa, ani ich fragment nie przestałby obowiązywać i wiązać. Aby tak się stało, trzeba owe traktaty, konwencje czy umowy międzynarodowe najpierw wypowiedzieć, bo samo orzeczenie TK to za mało. Jest to zobowiązanie ciążące na władzach, w których gestii takie procedury leżą, aby wykonały wyrok TK, stwierdzający sprzeczność z Konstytucją traktatu czy umowy międzynarodowej. Dziwi brak świadomości co do tego, że 15 lipca 2021, wydając wyrok  P 7/20 (zakwestionowano zasadę lojalności obowiązującą państwa członkowskie) Trybunał Konstytucyjny już zobowiązał polskie władze polityczne do wykonania wypowiedzenia Traktatu o UE! A przecież jeszcze czeka w Trybunale sprawa K 3/21 (gdzie zakwestionowano cały Traktat) i sprawa K 6/21 (gdzie z kolei otwiera się perspektywa wyjścia z Konwencji o Podstawowych Wolnościach i Prawach Człowieka, skoro zaskarżona tam tak kluczowy jej fragment, jakim jest prawo do sądu). Następstwem takich wyroków, jest konieczność wypowiedzenia umowy międzynarodowej (traktatu), albo zmiana Konstytucji, albo niewykonanie wyroku TK. Innej możliwości nie ma. Bo chyba nie możemy liczyć na (czwarta możliwość) zmianę TUE, TSUE oraz Konwencji o Podstawowych Prawach i Wolnościach Człowieka - skoro to od Polski nie zależy.

Wnioskodawcy (i - niestety - TK) posłużyli się fałszywą etykietą. Rzeczywisty zamiar: przeniesienie na szczebel lokalny decyzji, czy i które z wyroków TSUE i ETPCz będą w Polsce stosowane, a które nie, ukryto pod fałszywą etykietą. Sporu o supremację prawa polskiego nad traktatami unijnymi i EKPCz w takiej postaci, jak to przedstawiono - nie ma i nie było. Stosowanie mislabellingu prawniczego  ma dać efekt propagandowy, właściwy dla „państwa podwójnego”.

Nie ma dobrej strategii obrończej wobec tego rodzaju zakłamania prawa i prawoznawstwa. W walce z fałszywymi etykietami dziennikarze mają kłopot z dotarciem do rzetelnej wiedzy eksperckiej (zwłaszcza zjawiska  „zdrady klerków” w środowiskach prawniczych). A z kolei rzetelne prawoznawstwo musi zrozumieć, że jako sprzedawca na rynku idei ma potężnego i podstępnego konkurenta. „Własny  towar” nie tylko wymaga w tej sytuacji dodatkowej reklamy, ale i demaskacji metod nieuczciwej konkurencji, a także pomocy mediów. Dawniej wystarczyło wpuścić w dyskurs książkę czy artykuł. Obecnie samo zaistnienie w dyskursie jest trudniejsze, bo tłok, a o uznanie autorytetu i rzetelności trzeba dodatkowo, za każdym razem na nowo zabiegać, bo nikt nie wierzy autorytetom na kredyt. I na dobitkę trzeba pokazywać palcem, hałaśliwie (co nie każdy lubi) krytykować nieuczciwą konkurencję. Bo także dla prawoznawców obecnie sytuacja układa się identycznie, jak dla dziennikarzy: „mniej wolno - ale więcej trzeba”.